

KAROL MARILAUN.

## JULERL

Szkic z lipcowych rozruchów wiedeńskich.

— „Pagati!” — rzekł Neudecker Ferdl, rzucając swą brudną kartę na kamienny stół, przy którym siedział od wczesnego ranka ze swymi przyjaciółmi: Schekerlem, Rudolfem, czerwonym Hansim i Poldem.

Kamienny stół, mszysty i zwietrzały, — nie był zwyczajnym stołem!

Był to zatem kamień grobowy i leżał w niedznej trawie starego, dawno opuszczonego omentarza, dziś wielkiego rumowiska, wokół którego wznoszą się proletariackie domki wiedeńskiego przedmieścia.

Ulicznicy, bezrobotni, indywidua bojący się światła dziennego w śródmieściu, spędzają tu całe dnie między poprzewracanymi grobowcami.

Czasem policjant tu zagląda. Słyszy cichy, szyderczy gwizd na powitanie, do czego jest tutaj przyzwyczajony i nic sobie z tego nie robi, bo i mikt tu nic złego nie ma na myśli zresztą.

Za plecami Ferdla, który dla rozegrania partii swoje cztery grosze na stół inkasował, stanął Julerl — wysoki, ładny chłopiec w podartych drelichowych spodniach. Kiedyś — dawno temu — był uczniem u pozłotnika. Ale źle się sprawował: kino dziewczynki, towarzysze, gry na placach za ostatnimi domami przedmieścia — wszystko to bardziej było zajmujące od warsztatu. Od wielu, wielu już miesięcy włóczył się tak samo, jak Ferdl z towarzyszami.

Włóczęga zatem, jak ci wszyscy — którym spokojny obywatel starał się zejść z drogi, jeśli się z nimi w ciemnej ulicy spotka. Ale teraz nie było ciemno. Jasne, upalne, lipcowe południe żarem prażyło. Julerl położył swą dużą, opaloną rękę na ramieniu Ferdla. Galopem przybiegł do przyjaciół z nowinami:

— Siedzicie tu przy głupim taroku — mówił zadyszany — a w mieście zamęt. Na Ringstrasse już strzelają i u nas zaraz się zacznie, patrzcie tam!

Nad zalaniem słońcem domami wznosił się olbrzymi, prosty, jak świeca, słup dymu.

— Sąd okręgowy — mówił dalej Julerl ze złym błyskiem w oczach — miech się pali! Benzyną go podpalił. To samo będzie z uniwersytetem. Rzućcie głupie karty. Prędko, śpięszcie się! Chodźmy zobaczyć, co się święci!

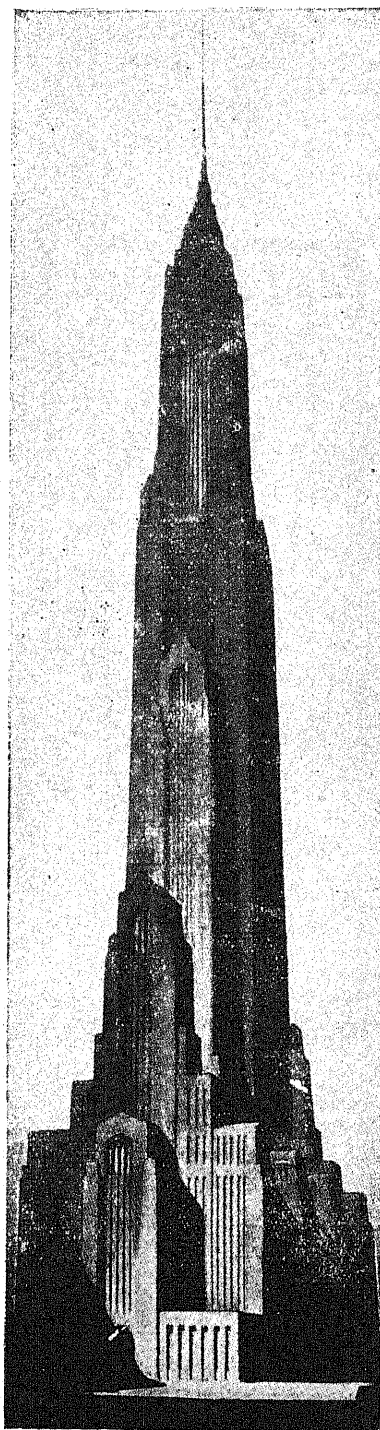
W oka mgnieniu Julerl i Ferdl z przyjaciółmi pędzili ku miastu. Tam spuszczano już z hałasem żelazne okiennice sklepowe. Słychać było daleki, to pojedynczo, to rytmicznie grzmiący trzask. Pierwotne zleinstynkty rozpętały się w chłopcach. Z dzikim gwizdem gnali dalej. Wielka szeroka ulica była przeraźliwie pusta. Tu i owdzie mrknął ostatni wehikuł. Mieszkańcy z bladymi twarzami wzdłuż muru przemykali się w boczne ulice.

Chłopcy wciąż biegli. Julerl z nimi. Przed jedną z ulic stanął jak wryci, po

chwili jednak z dzikim okrzykiem wpadli w nią: wpoprzek szerokiej ulicy, jak z pod ziemi wyrosła, straż bezpieczeństwa stała murem z karabinami do strzału gotowemi w rękę. Z bocznych ulic biegł tłum: sami wyrostki, jak Ferdl i Julerl, z kamieniami, kijami i żerdziami w rękach.

Grad kamieni sypnął — wślad za tem huk strzałów. Krzyki. Jęki. Gwizd. Przekleństwa. Julerl, jak szalony pędził naprzód wraz z innymi chłopcami. Nie była to już banda próżnujących włóczęgów, lecz sfera rozwydrzonej tłuszczy.

Nagle Julerl stanął, jak wryty. Znajdował się na ulicy, przy której dawniej mie-



Wizje urbanistów.

szkał z rodzicami — kiedy był jeszcze uczniem u pozłotnika. Jakaś kobieta przeraźliwie krzyczała.

Lamiąc ręce, stała w bramie domu, który był jego, Julerla, domem, kiedy się dobrze sprawował. Julerl stał nieruchomo. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Zdawało mu się, że słyszy głos matki, płaczącej i wyrzekającej na to, że za późno z kina i swojej włóczęgi do domu wracał, że czuje karzącą rękę ojca na ramieniu i słyszy jego gniewne słowa:

— Teraz dopiero do domu wracasz? Gdzie się włóczysz, gałganie?

Gderanie majstra w warsztacie kiedy on, Julerl, który zawsze gdzieś po obłokach myślami błądził, znowu mu jakąś drogą robotę zepsuł...

— Do domu! — jęknął głucho.

— Boisz się, psie! — krzyknął nań jeden ze zgrai.

Julerl drgnął, wyprostował się dumnie i jak nieprzytomny rzucił się wraz z innymi w tłum. Dostał łufą karabinu między łopatki, aż zawył z bólu. Gryzący dym palił mu oczy, jak dziki zwierz obiema rękami objął stalową łufę i wściekłym wysiłkiem przygiął ją do ziemi. Poldl, Hansl, Ferdl, Schekerl i Rudolf tłukli przed nim jakiegoś mężczyznę. Po raz pierwszy w swem siedemnastoletnim życiu Julerl ujrzał krew...

W kilku skokach Julerl znalazł się na rogu ulicy. Jeszcze jedna ulica... jeszcze jedna... U ich wylotów wszędzie błyszczały lufy w słońcu... Brama... Otwarta... — Wbiegli... Przez podwórko dostał się do innej bramy... I oto znalazł się znowu w ulicy, przez którą z przyjaciółmi przebiegał. W jego ulicy...

Z szarą twarzą Julerl zapukał do okna przy bramie domu liczbą siedem. Domu, w którym matka jego była!

— Otwórzcie! — reszta tchu w pierśi zawołał. — To ja, Julerl!

Przez otwierające się okno jak kot wskoczył do pokoju. Wszystko tu było po dawnemu. Zupełnie tak samo, jak widział często w swych marzeniach z ostatnich miesięcy, kiedy się włóczył, uciekając od pracy, z ciemnymi indywiduami po przedmieściach, kinach, samotnych parkach...

W domu nic się nie zmieniło: te same łóżka z czerwonymi kapami, które matka na raty kupiła; maszyna, przy której późno w noc pracowała, sofa, na której on, Julerl, sypiał, kiedy z warsztatu lub z fachowej szkoły do domu wracał; mały, zielony kłószek z bibułki nad lampą. Na komodzie jego fotografia: Julerl w nowym ubramiu, w którym przed czterema laty do bierzmowarńa przystępował...

— Jezus, Marja, Józef! — krzyknęła matka. — Gdzieś ty był? Gdzie się włóczysz, Julerl?

— Przyszedłem w odwiedziny, nie krzycz tak! — odparł Julerl, błędnym wzrokiem wodząc wokoło. I przerażony schował rękę, na której lepka czarna krew zakrzepła.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok IV.

Łódź, 2 października 1927 roku.

Nr. 40.

## 25-letni jubileusz „Kochanówki”.



W dniu 17 ub. m. odbyła się w szpitalu dla umysłowo chorych w „Kochanówce” uroczystość 25-letniego istnienia. Uroczystość ta dała licznym gościom okazję przekonania się o wielce doniosłym znaczeniu i żywotnej pracy tej arcy-zasłużonej instytucji.

Na zdjęciu personel lekarski i obsługa szpitala z dyrektorem, dr. Siwińskim, pośrodku grupy.

Fot. A. Meyer.



## Teatralja.

**Premjery warszawskie. — Hauptmann przez... radio. — Co piszą autorzy zagraniczni?**

Niegrana nigdy dotychczas w Warszawie we właściwej swej postaci „Fedora“ Sardou (prześladowała ją cenzura rosyjska) ujrzała w tych dniach światło kinkietów w Teatrze Polskim. Dzieło jędnego z najznakomitszych majstrów scenicznych — „Fedora“ nosi na sobie przedewszystkiem piętno genialnej Sardou'owskiej techniki, dającej materiał raczej do podziwu, niżli do — wzruszeń. Arystokratyczno - dyplomatyczne środowisko Petersburga z lat osiemdziesiątych, oglądane przez autora zdaleka i pod kątem potrzeb teatralnej — dla Francuzów — egzotyki, musi oczywiście publiczność polską uderzać niejednokrotnie pewną dowolnością typów ludzkich i ich „słowiańskiej“ psychiki. Mimo podobne zastrzeżenia, „Fedora“, jako dzieło teatru, potrafi wciąż zaciekawiać i przykuwać, zwłaszcza, że daje pole do popisu wykonawcom ról głównych, bo głównie bodaj z myślą o tym popisie przez autora została poczęta.

Węzeł miłości, nienawiści i zbrodni, z najwyższą zręcznością spleciony w intrygę „Fedory“, mimo wybitną melodramatyczność w dzierzganiu jego zasadniczych wątków i starannie odmierzona, nieco sztuczna, precyzja w ich wzajemnym stosunku — jest widowiskiem wciąż jeszcze dość interesującym, aby mógł, choćby tylko z punktu widzenia scenicznego kunsztu, zająć uwagę dzisiejszego widza. Rola Fedory, dająca kreującą ją aktorce możliwość solowego, świetnego popisu, stanowi drugi moment, utrzymujący młodzież popularnej ongiś sztuki w stanie zupełnie naturalnym wydaję się życiowe przyjęcie „Fedory“ w Warszawie, anno D. 1927, i całkowicie uzasadnionym pomysł jej wystawienia.

„Fedora“ p. Przybyłko-Potockiej — rola grywana dawniej na scenach polskich przez takie gwiazdy, jak Hoffmanowa i Modrzejewska — pozostanie na zawsze jedną z najświetniejszych w bogatym repertuarze primadonny Teatru Polskiego. Rzecz prosta, że rola ta, wyposażona w cały zasób dramatycznych piękności talentu p. Przybyłko-Potockiej, staje się osią całego przedstawienia, nadającą mu sens i kierunek. Nie tocząc jałowego sporu o to, w jakim stopniu p. Przybyłko uosabia rosyjską księżnę w ujęciu i pojęciu autora sztuki, należy podkreślić w grze znakomitej artystki przede wszystkim tę niezrównaną potęgę prawdy kobiecości, potęgę, będącą najbardziej chyba fascynującą cechą kreacji p. Przybyłko-Potockiej. Cecha ta posiada zdolność przetrwania złotych mostów pomiędzy epoką Sardou a — dzisiejszą erą Crommelyncków i Pirandellów; są to mosty porozumienia, wiodące zawsze do serc widzów... Z pośród partnerów Fedory, wymienić wypada pp.: Sulimę, Samborskiego,

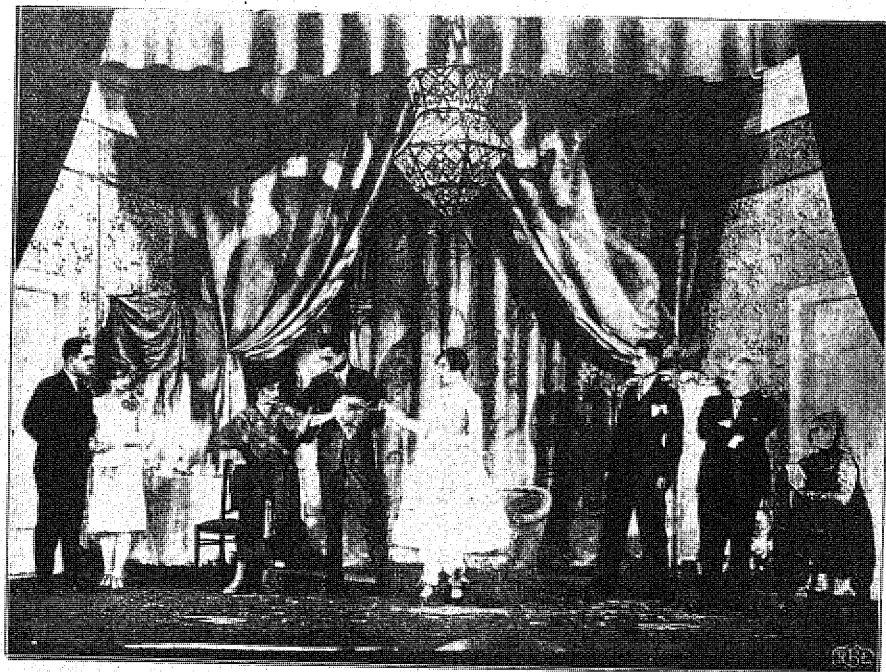
Fritschego, Małkowskiego. Reżyserował p. Borowski.

Produkt francusko - włoskiego przymierza — „Moja Maleńka“ pp. Mirande'a i Nicodemi'ego, wystawiona w Teatrze Letnim, okazała się wcale nienajgorszej jakości i dodatnio świadczy o kollaboracji dwóch siostrzyć jacińskich — przynajmniej w dziedzinie komedjopisarstwa. Nie będziemy się tu zabawiać w szczegółowe opowiadanie treści bardzo miłej komedyjki, w której sentymentu, pikanterji, dowcipu i wszystkiego, czego trzeba, jest w dostatecznej ilo-

ści. Krótko mówiąc, „Maleńka“ p. Angely'ego, świeżące już comieco bon-vivant'a jest jego przybraną córką, oczywiście ładną i powabną. Te atuty budzą wówczas, gdy „Maleńka“ dorasta, w sercu opiekuna uczucia niezupełnie ojcowskie. Ale, w rezultacie „Maleńka“ potrafi manewrować tak zręcznie, że potrzeba prawdziwego kochania, budząca się po raz pierwszy może w sercu „starszego pana“, znajduje dla się obiekt najbardziej właściwy w osobie — ex-małżonki p. Angely'ego, którą opuścił przed dziesięciu zgórą laty. A że małżonka



W dniu 4 ub. m. J. E. ks. biskup Tymieniecki dokonał poświęcenia figury Matki Boskiej, mieszczącej się w ogrodzie Domu Misyjnego Sióstr Pasterek w Radogoszczu.



Fragment z IV-go aktu doskonałej komedji Varnéuil'a p. n. „Panna Flute“, granej w Teatrze Miejskim w Łodzi z p. St. Jarkowską w roli głównej. Fot. A. Meyer

ta zachowuje wciąż — w wiejskim jakimś przebywając ustroniu — swą piękność i wytworność, tedy p. Angely nie jest bynajmniej godnym pożałowania.

Pp. Majdrowiczówna, Gella, Kurnakowicz i Lenczewski prym wiodą w streszczonej wyżej scenicznej historyjce.

Teatr Odrodzony, któremu kilka słów poświęciliśmy w niedzielę ubiegłą, szczęśliwie zainaugurował sezon „Lilią Weneda“ — jak przystoi w roku Słowackiego. Zapal i — odwaga nowej dyrekcji, talenty i praca dobrze wyówiczonego zespołu, pietyzm reżyserji i pomysłowość dekoratora — stworzyły całość bardzo nieprzeciętną, wrócającą jak najpomyślniej o perspektywach rozpoczynającego się sezonu. Gorąco życzyóby sobie należało, aby Teatr Praski, tak niezbędny w stolicy i niejedną piękną kartę posiadający — mimo wszystkie przeciwności w swej historii, mógł wreszcie spokojnie i bez wstrząśnień zająć się działalnością kulturalną i artystyczną, bynajmniej nieobojętną dla całości stosunków teatralnych w Warszawie.

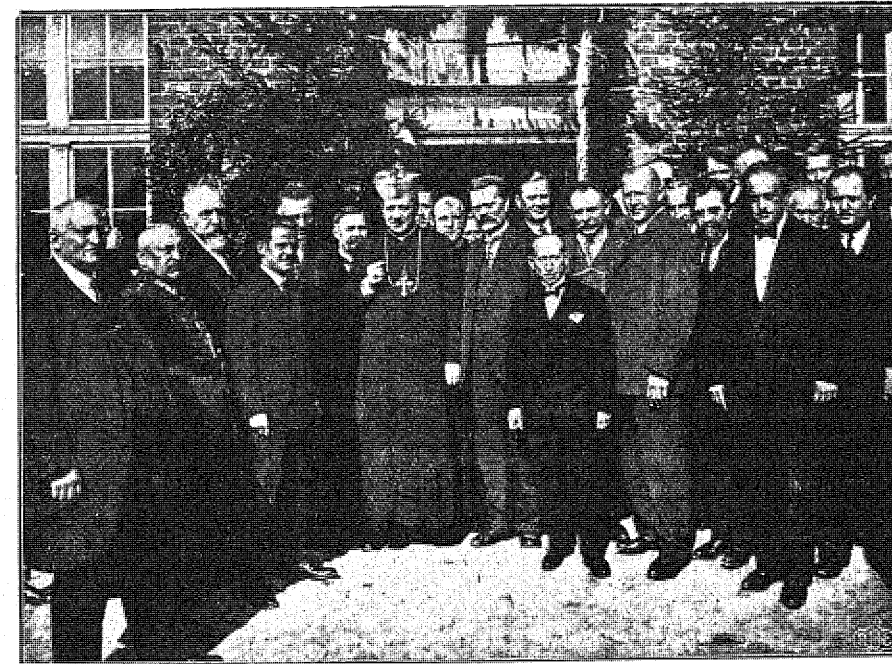
Bardzo ciekawy eksperyment zrealizowała przed kilku dniami radiostacja warszawska, nadając „słuchowisko radijofoniczne“ — znaną „Hanusię“ G. Hauptmanna. Audycja ta trwała około półtorej godziny, przy udziale dwudziestu kilku wykonawców. Próba, zdaniem ogólnem, wypadła korzystnie, choć, oczywiście, reżyser radijofoniczny posiada bardzo wiele przeszkód — natury artystycznej, o technicznych nie mówimy — do zwalczenia. Podobne eksperymenty, czynione są zagranicą od dość dawna. Czy ten „teatr radijofoniczny“ przyjmie się i uzyska rację bytu — przyszłość osądzi. Przypuszczając wszakże należy, że ogromna większość miłośników sztuki dramatycznej przenosić będzie madal teatr prawdziwy od najidealniejszej choćby audycji radiowej, gdyż wartości wizualne,

których tej ostatniej brak, są w dramacie prawie zawsze niezastąpione, tak jak próba czytana nie jest przedstawieniem teatralnem.

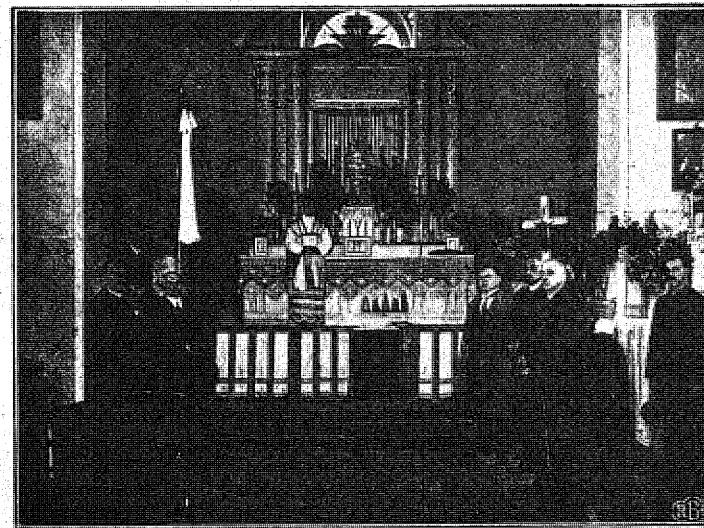
Na zakończenie parę słów o „ruchu operowym“ zagranicą: Ryszard Strauss napisał nową operę p. t. „Helena Egipska“, której premiera odbędzie się w Dreźnie; Igor Strawiński wykończył dzieło sceniczne — „Edyp - Król“, które ukaże się wkrótce w

jednym z operowych teatrów berlińskich; I. Pizzetti napisał operę p. t. „Fra Gherardo“, przeznaczone dla medjolańskiej „La Scali“; 18-letni Erwin Dressel, kapelmistrz opery w Hannoverze, wystawia wkrótce w Cassel swą operę p. t. „Biedny Kolumb“; młodociany kompozytor debiutował już ciekawą ilustracją muzyczną do komedji Szekspira „Jak się wam podoba“.

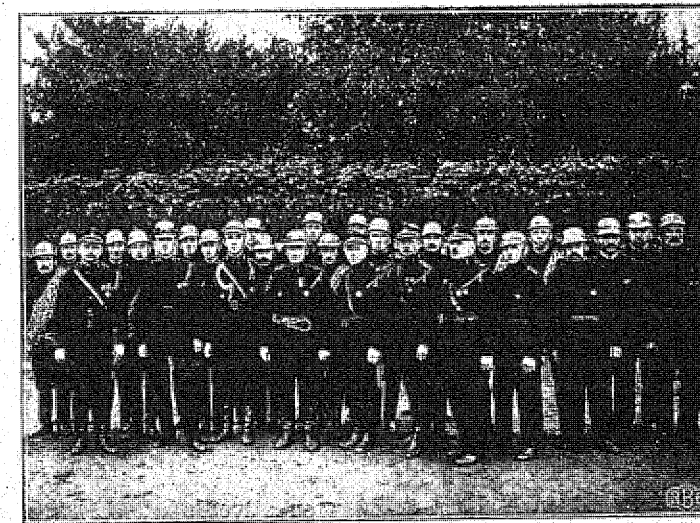
Delta.



W dniu 22 ub. m. J. E. ks. biskup Tymieniecki w obecności przedstawicieli władz miejskich dokonał poświęcenia sanatorium dla dzieci pierśiowo-chorych w majątku miejskim w Łagiewnikach.

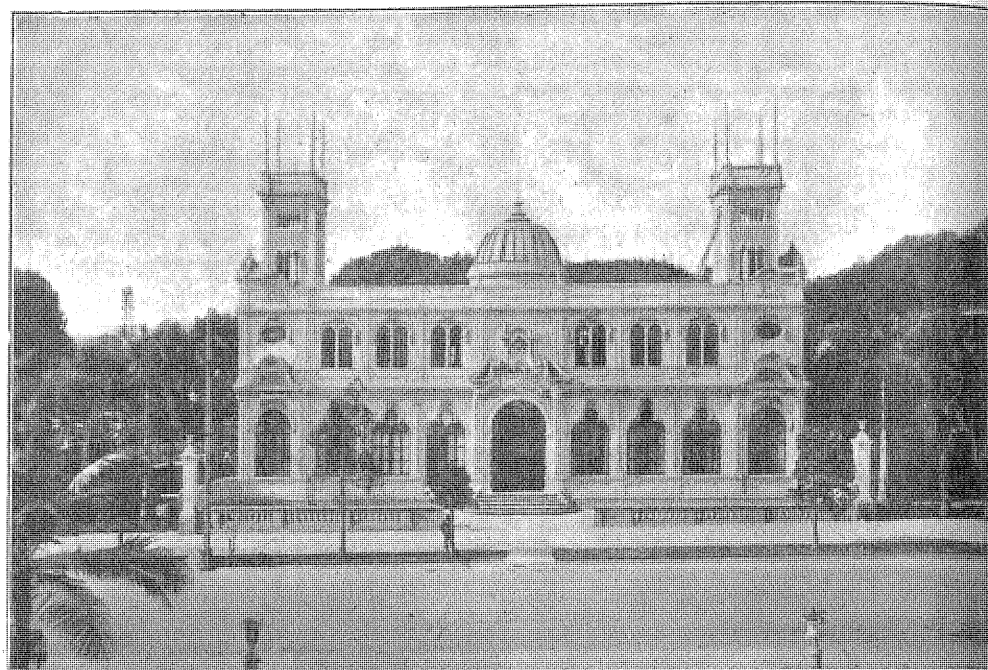


Wnętrze kaplicy przy szpitalu dla umysłowo chorych „Kochanówka“.



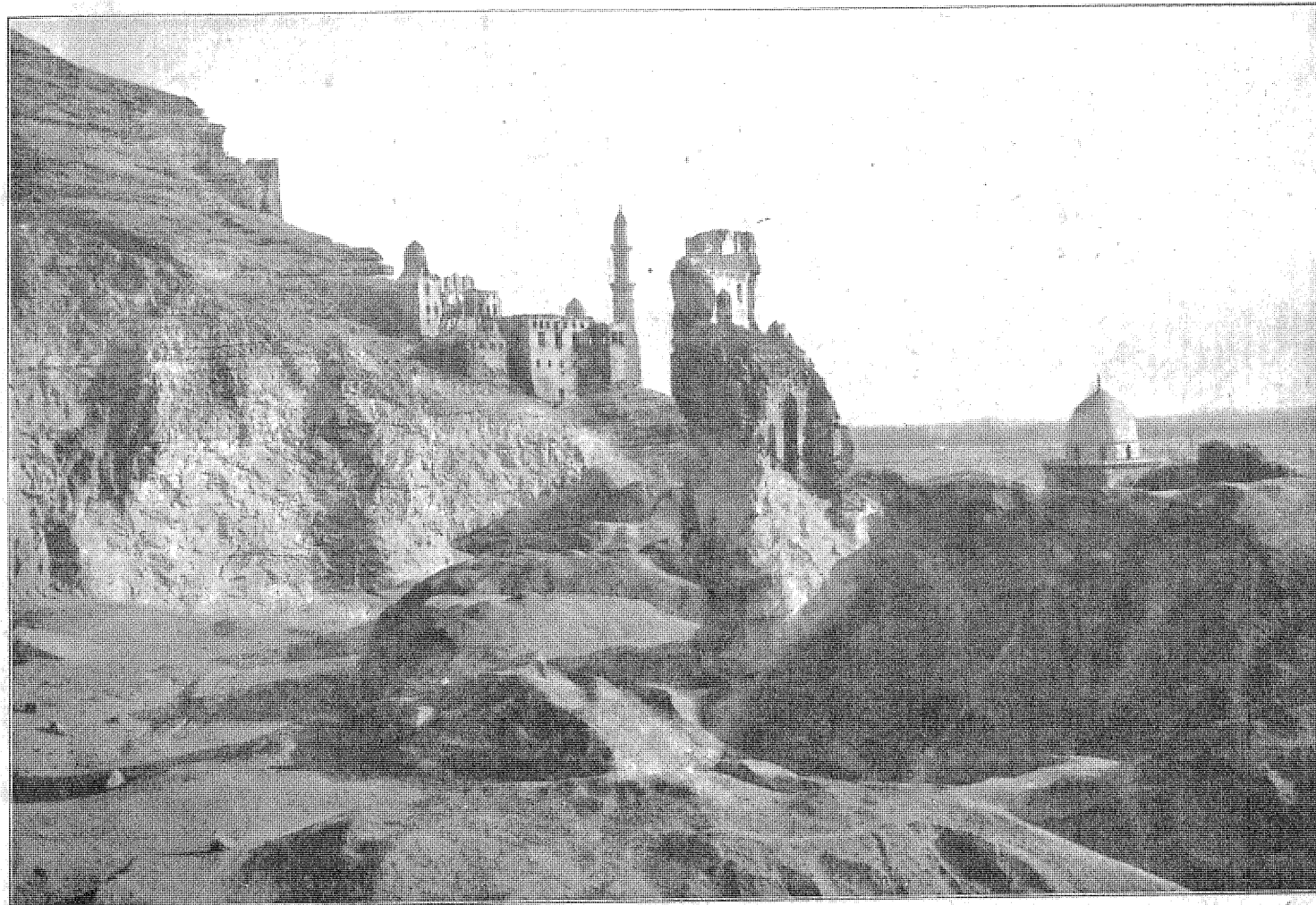
W dniu 25 ub. m. Straż Ogniowa Ochotnicza w Konstancynie święciła 25-lecie swego istnienia. Na zdjęciu drużyna strażacka z komendantami na czele. Fot. A. Meyer.



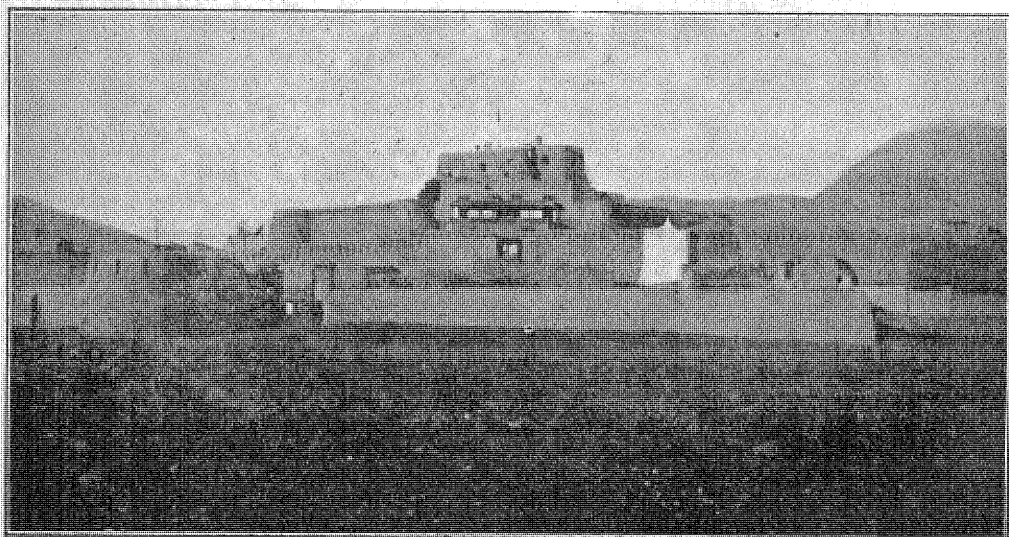


Instytut higieniczny w stolicy Peru.

Talented film star, Bebe Daniels.



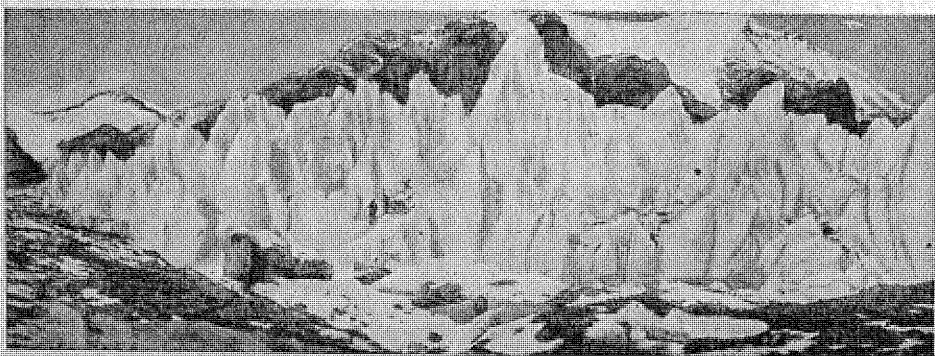
Ruiny starożytnego klasztoru Bektasch w Afryce.



Wojenny fort w Khilbarze.



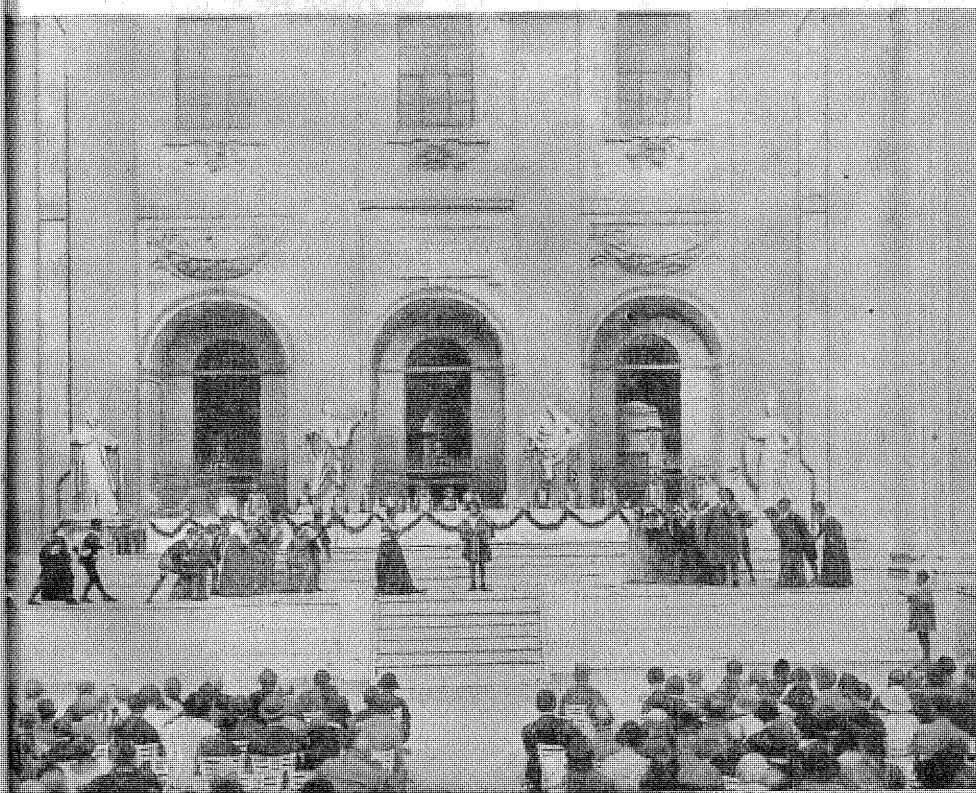
Piękność wschodnia.



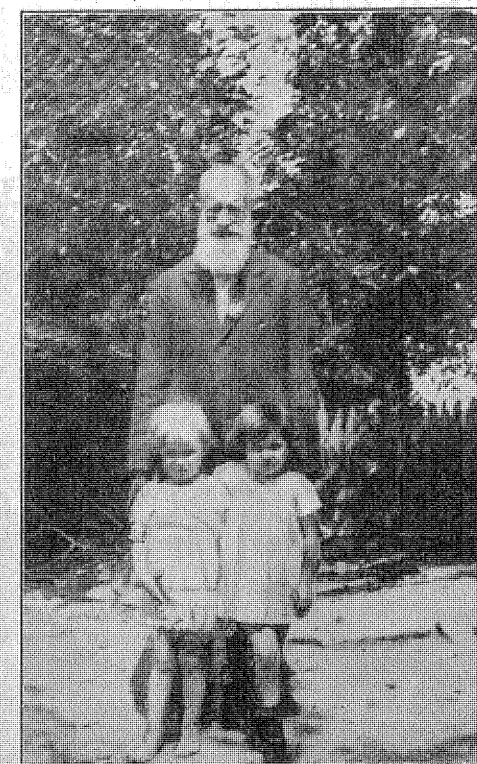
Biała śmierć. Łodowce na wysokości 8 tysięcy stóp poniżej szczytu Everest.



Krajobraz z środkowej Jawy.

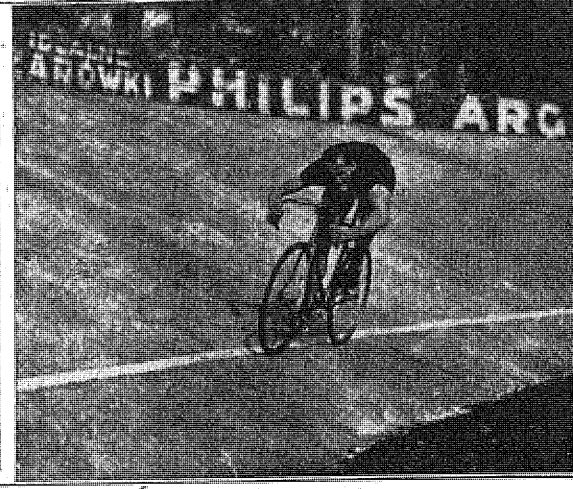
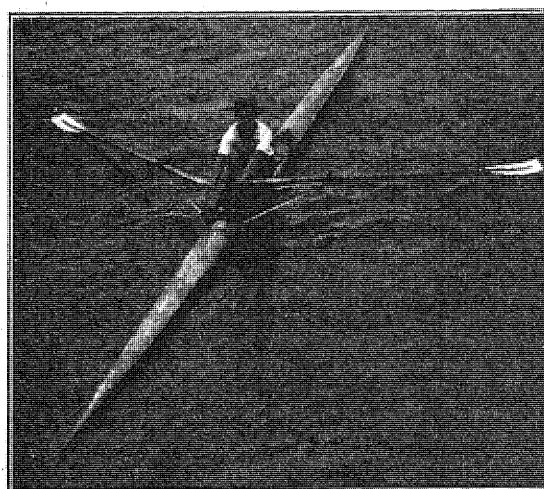


„Jederman” na placu katedralnym w Salzburgu. Scena personifikacji załotów.



Polacy w Azji Mniejszej. Wincenty Ryży, senior kolonii polskiej w Adampolu z wnuczętami.





Kajakiem na wodach polskich.

Chłuba hippiki polskiej, ptk. Römmel.

Znakomity sprinter polski, Jan Łazarski.



Lady Boden Powell, przywódczyni harcerzy olimpijskich.



Major Segrave, zdobywca rekordu szybkości w samochodzie.



Efektowny skok o tyczce.

## MIASTO-LAS „KOLYMNA” PROJEKT ROZPLANOWANIA



Chcąc poinformować czytelników naszych o nowopowstającym osiedlu podmiejskim w okolicach Łasku p. n. „Miasto-Las-Kolumna”, zwróciliśmy się do właściciela dóbr Łask, p. Janusza Szwejcera, z kilkoma zapytaniami w tej sprawie.

Poprosiliśmy przedewszystkiem o wyjaśnienie, czemu przypisać należy tak ogromne zainteresowanie powstającym osiedlem.

— Na Zachodzie jest to objaw normalny, że przeważająca część ludności zamieszkuje okolice podmiejskie, a pracuje w mieście — wyjaśnia nasz rozmówca. — U nas niekorzystne warunki gospodarcze i ekonomiczne proces ten zahamowały i dopiero w ostatnim roku widoczny jest duży ruch w tym kierunku. W Kolumnie zaś specjalnie wytworzył się wprost ruch żywiołowy. Przypisuje to temu, że okolice Łodzi nie posiadają większych terenów leśnych tak zdrowo i dogodnie pod względem komunikacyjnym położonych, jak w Kolumnie. Przystanek kolejowy mamy obie ciany, a w moim przekonaniu, przeprowadzenie linii tramwajowej jest tylko kwestją czasu. Istnieje już przecież koncesja na linię tramwajową Pabjanice — Kolumna — Łask — Żelów.

— Jakie są warunki kupna, ceny i wielkość działek, zapytujemy dalej.

— Zasadniczo pobieramy przy umowie 25 proc. zadatku, rozkładając renty na 12 rat miesięcznych. Działki są różne: od 1000 mtr. kw. do 5000 m., a ceny od 50 gr. do 3 zł. i wyżej w zależności od położenia i drzewostanu.

— Jak słyszymy, wszystkie działki są już zamówione; nie można więc będzie już nabyć działek w Kolumnie?

— W chwili obecnej rzeczywiście pierwsza część, o obszarze 111 hektarów, jest już rozsprzedana i obecnie biuro moje w Kolumnie pracuje nad techniczną stroną sprzedaży, a więc nanosi działki na grunt i spisuje umowy sprzedażne. Praca to duża i dopiero na wiosnę zaczniemy sprzedaż drugiej części miasta-lasu, a następnie trzeciej.

Korzystając z uprzejmości p. Szwejcera zapytujemy dalej: — Z jakich sfer rekrutują się nabywcy działek, kiedy zaczną budować i czy między nabywcami są Żydzi?

— Największą przestrzeń, bo przeszło 15 hektarów, podzieloną na 73 działki nabyło stowarzyszenie p. n. „Kasa Przewodności Urzędników Fabryk Krusche i Ender w Pabjanicach” dla swoich członków, po-

zatem nabywcy rekrutują się przeważnie ze sfer mieszczańskich, urzędników i inteligencji zawodowej, jest kilku doktorów, paru księży i t. p. Związek Zawodowy Kolejarzy też zamówił pewną przestrzeń dla swoich pracowników. — Co do Żydów to jest powszechnie znany objaw, że ci lubią grupować się razem, a że w Kolumnie byłoby odosobnieni, więc przypuszczam, że będą dążyć do stworzenia własnych kolonii. Projekt tego rodzaju objął mi się nawet o uszy.

Pierwsze budowle ujrzymy już na wiosnę, jak to słychać z projektów nabywców. Jest b. ważne, żeby budowle były ładne i estetyczne, ale to jest w ręku komisji budowlanej, która niedługo ukonstytuuje się z pośród nabywców. Plan parcelacyjny opracowany przez znanych urbanistów sprzyja powstaniu ładnego i kulturalnego ośrodka. Reszta zależy od nabywców i Komisji Budowlanej.

Na tym rozmowę naszą z p. Szwejcera zakończyliśmy. Dla orientacji zamieszczamy plan parcelacyjny, na którym ciemniej zabarwiona przestrzeń jest już rozsprzedana, a jaśniejsza przygotowuje się do następnej parcelacji.



## RYWALKA.

Od trzech miesięcy Nita Meerland była wdowa. Mąż opuścił ją samotną i niezaraną zupełnie. Brak samodzielności bowiem, wrodzony jej z natury, rozwijał się bardziej jeszcze w ciągu lat, dzięki silnej i absolutnej indywidualności męża.

Stężała w swym bólu po nim, zmieniała się na twarzy, w ruchach i obejściu. Miękkie dotychczas rysy przybrały wyraz twarde, chód stał się sztywny, cała postać w czerni i krepie tchnęła smutkiem i brakiem energii.

Jak u wszystkich przewrażliwionych natur duchowe wstrząśnienie wywołało silne wyczerpanie fizyczne. Teraz wraca powoli do siebie, ale okrutny los nie daje jej nawet cierpieć w spokoju.

Kiedy pewnego dnia zmęczona śmiertelnie po konferencji z adwokatem, do domu wróciła, wzrok jej padł na dużą, białą kopertę, która natrętnie na biurku leżała.

Przecucie nowego cierpienia przeniknęło nagle jej duszę.

Otworzywszy, czytała:  
„Jestem w nędzy... moje dziecko jest chore i nie mogę ją ratować. On dałby o nas, gdyby go śmierć nie zaskoczyła.... Dlatego do pami się dzisiaj zwracam... bo to jego dziecko, a pani go też kochała!“

Upuściła ów kartkę papieru na posadzkę. O kim ta kobieta mówi? Czyżby troska i nędza odebrały rozum jakiejś nieszczęśliwej kobiecie? Czy rozpacz przez jej usta mówi, czy też jest to niezdarna próba szantażu?

Spojrzała na podpis...  
„Marja Wendlach“.

Pewne wspomnienie stanęło jej nagle w pamięci. Nazwisko to dawniej często od męża słyszała, jako przyjaciółki lat dziecińczych, którą przypadkowo w stolicy spotkała. Teraz dopiero przyszło jej na myśl, że później nigdy o niej w rozmowach nie wspominał. Nie dziwiła się temu wówczas, nie zauważyła nawet. Kochała męża bez pamięci, fanatycznie niemal, nie widząc nic po za nim na świecie i o nic go nigdy nie podejrzewając.

Przypomniała sobie teraz jego częste wycieczki do miasta, które konferencjami biurowymi przed nią tłumaczył. I oto stanął w jej oczach łańcuch niezbitych dowodów....

Wstała i chodząc jeła wzdłuż i wszerz po pokoju, dziwiąc się w duchu, że ją nogi jeszcze niosą....

Życie jej traciło resztę swej treści: pravo do żałoby po ukochanym. Nagle chwyciła ją dzika, nienawistną tchnąca tęsknota za tym dzieckiem; pragnienie ujżenia dziecka, które jego rysy miało; pokazania kobiecie, która jej taki ból zadała, jak mało ją to obeszło....

Z rosnącą gorącością w sercu zerwała z siebie żałobne szaty, wyciągnęła kolorową suknię z szafy, ubrała się w nią, zmuszając

twarz, stygmatem bólu znaczoną, do maski obojętnego uśmiechu.

I udała się do kochanki swego męża.

Stanęła niebawem przed wielkim, zniszczonym domem w jednej z wąskich uliczek północy Berlina. Już w bramie domu uderzyła ją atmosfera zaniedbania i nędzy. Z trudem weszła na trzecie piętro, silne bowiem bicie serca tamowało jej oddech, dusząc ją niemal. Poczem stuknąwszy ostro do drzwi i nie czekając na zachęcające „proszę“ weszła do pokoju.

Kiedy jednak stanęła w pustej prawie, ubożuchnej izdebce płomień gniewu zgasł w jej duszy. Ujrzała przed sobą kobietę, którą cierpienie okrutnie odarło z resztek urrody i kobiecego czaru, której oczy pełne bólu i tajonego wstydu w jej wzroku utkwiły, a twarz wyrażała cierpienie starannie przed ludźmi ukrywane, bo niemające prawa przed światem się ujawnić. Żadnego zdziwienia w wyrazie oblicza, przelotne zmieszanie co najwyżej. Poczem ruchem od słów wymowniejszym wskazała na czteroletniego blisko chłopczyka, który siedząc na podłodze, trzymał w ręczce smutną resztkę jakiejś zabawki.

Drżąc całą postacią Nita Meerland patrzyła na dziecko, dźwigające wraz z matką, co je na świat wydała, brzemię jej bólu,

wstydu i nędzy, na drobną główkę, gdzie promień słońca w blond loczkach migotał, na bladą, przezroczystą twarzyczkę z siatką żyłek sinawych i matowymi szaremi oczami... Jego dziecko... Od pierwszego wejrzenia pewność tę miała...

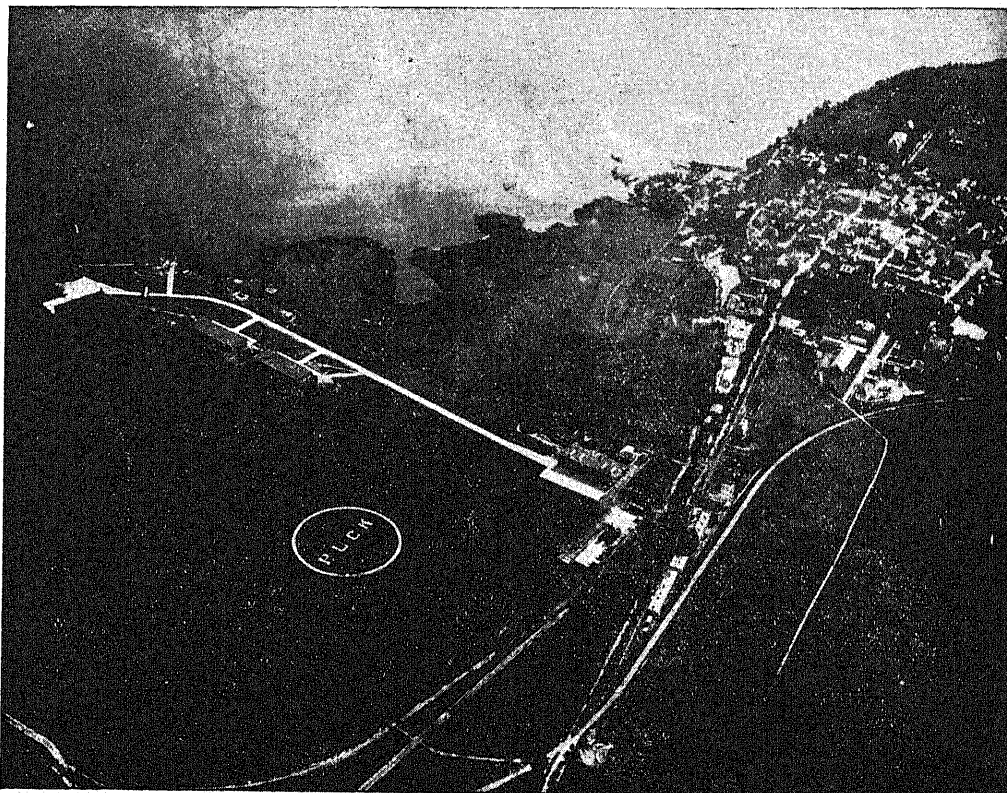
Nagle wstyd ogarnął młodą kobietę. Wstyd za gniew, urazę, zazdrość, co duszą jej miotala. Za żal do umarłego, który już przed Boskim stanął Sądem, aby winy swoje przed Najsprawiedliwszym i Najmilsiejszym złożyć...

Zmierzyła ogniom bólu rywalki swojej. Własne cierpienie zbladło i przycichło. Wzrok spotkał się ze wzrokiem tej kobiety, która za miłość męża całego życia płacić musi, podczas gdy ją spokój i dostatek otacza...

Zauważyła nagle, że wzrok nieszczęsnej kobiety z bezgranicznym zdumieniem obejmował jej postać, która jak wielka kolorowa plama jaskrawo się majaczyła na tle beznadziejnie smutnego otoczenia.

— Niech pani nie wierzy mojej sukni... ja go także... kochałam... Chodzę w żałobie... po nim... tęsknię za nim... jak i pani... — zawołała wśród łkań i ze łzami w oczach wyciągnęła ręce, szukając dłoni swej rywalki...

Tłum. Jotsaw.



Puck z lotu ptaka.



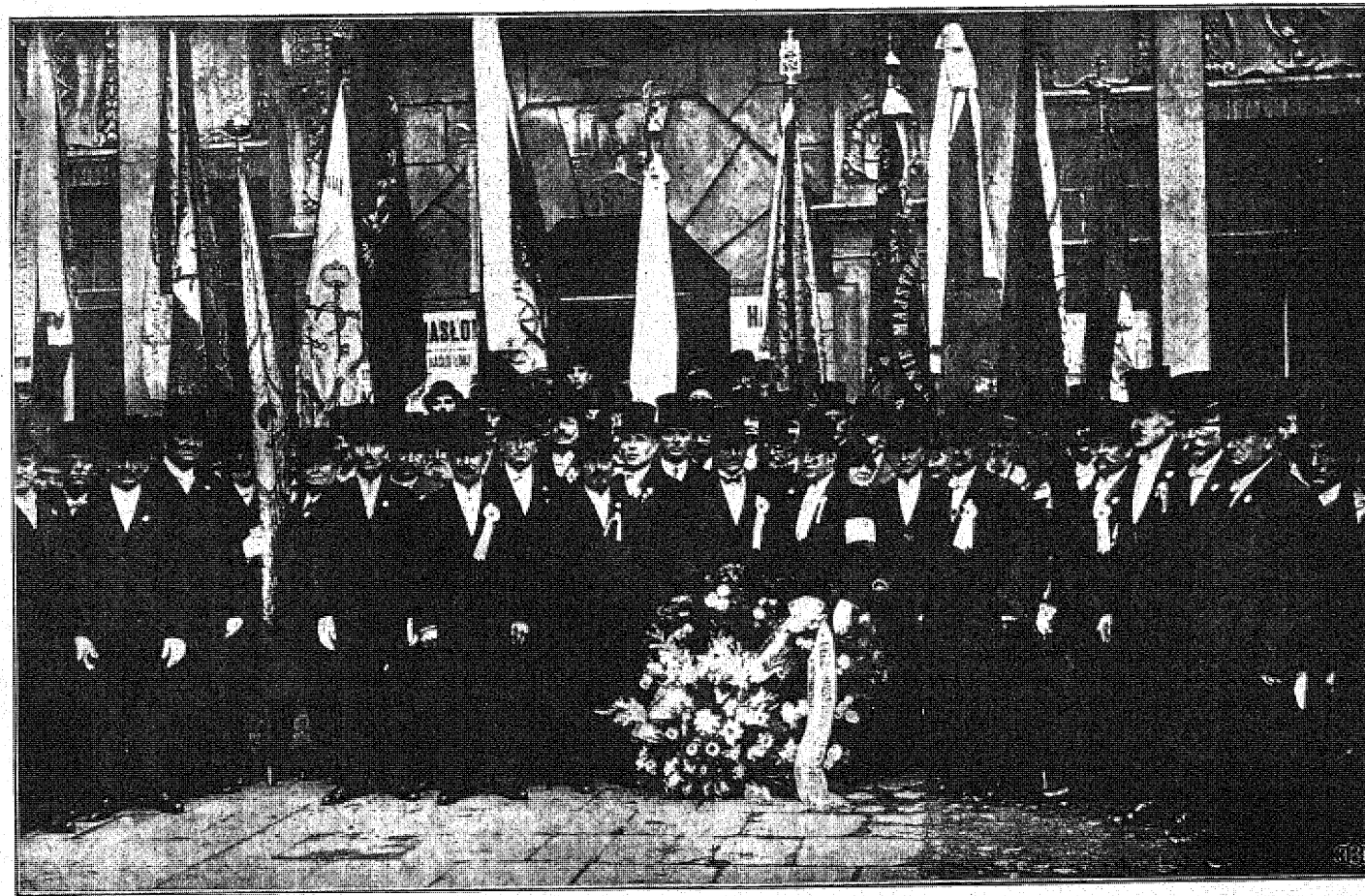
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, 9 października 1927 roku.

Nr. 41.

## Stuletni jubileusz Cechu Mistrzów Ślusarskich w Łodzi.



W dniu 25 września r. b. Cech Mistrzów Ślusarskich w Łodzi święcił uroczyste stuletni jubileusz swego istnienia. Na zdjęciu powyższym widzimy członków tego Cechu, zgromadzonych ze sztandarami przed wymarszem do katedry na nabożeństwo.

Fot. Aleksander Meyer.